

Czarny Apostoł

Tomasz Piec



TOMASZ PIEC
CZARNY APOSTOŁ

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2020

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Robert Wieczorek

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Tomasz Piec 2020

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński

Zdjęcie na okładce © mjrnum/ArtTower

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2020

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-239-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Prolog

Powoli nadchodził zmierzch. Świat tracił swoje soczyste barwy, robiło się szaro. Zachodzące słońce zaczęło barwić krwawymi refleksami niebo i powierzchnię pobliskiego jeziora. Rybak na płaskodennej łodzi, przez cały dzień harujący przy sieciach i hakach, spojrzął w niebo i pomyślał, że pora kończyć. Na spokojnej toni jeziora widoczna była tylko jego łódź, inni odbywali swoje połowy bardziej na południe, na znanych i względnie spokojnych łowiskach. Północna część jeziora Lednica uważana była za niebezpieczną. Starzy ludzie z Gradca opowiadali przerażające historie o utopcach wciągających nieostrożnych pod wodę, rusalkach mamiących mężczyzn, złośliwych planetników sprowadzających nagle a groźne zmiany pogody, wywracających łodzie lub płaczących sieci, o mamunach wiodących ludzi na manowce, o innych zagrożeniach już nie wspominając. Rybak podjął jednak ryzyko, ponieważ wiedział, że wielkość połowu wynagrodzi mu z nawiązką przeżyty strach. Na rynku w Gradcu weźmie za połów naprawdę dobrą cenę. Może nawet w bursztynach lub srebrze. Już prawie połowa łodzi była wypełniona rybami. Wielkie okonie, płocie, dwa szczupaki i prawie czterostopowy sum – całkiem niezły wynik jak na jeden dzień pracy. Porównywalna wielkość połowu była nieosiągalna na południowych wodach. Rybak uśmiechnął się pod nosem, czując ciężar wyciąganej sieci. To będzie przedostatni raz, jeszcze tylko jeden i koniec na dziś. Oczyma wyobraźni widział swoją żonę i trójkę małych dzieci, jak cieszą się z wielkości zdobyczy. Wiedział, że dzięki temu będą mogli sobie pozwolić na kupno wielu dodatkowych rzeczy. Zarzucając sieć, przeliczał szybko, ile byłby w stanie złowić i zarobić, jeżeli przyplynie tu jeszcze raz. Albo dwa razy, albo nawet pięć?

Jedna z linek z hakami naprężyła się mocno i zatrzeszczała. Rybak rzucił się w kierunku mocowania na burcie, chwycił linkę i... aż stęknął z wysiłku. To, co znajdowało się na drugim końcu, na pewno było o wiele cięższe od złowionego suma.

Sznur znów się napiął – tak mocno, że łódź niebezpiecznie się przechyliła. Mężczyzna puścił linkę i sięgnął za pas po parę skórzanych rękawic z jednym palcem. To musiała być olbrzymia sztuka. W pewnej chwili łódź drgnęła i zaczęła płynąć. Rybak czuwał i kiedy tylko zmieniał się kierunek, szybko wybierał luz. Zajęty polowaniem, stracił rachubę czasu, a tymczasem szybko zapadał zmierzch. Mgły podniosły się ponad wody, żaby rozpoczęły wieczorny koncert. Rybak, ogarnięty gorączką połowu, nie zwracał na to uwagi. Bacznie obserwował nikonący w wodzie sznur; w międzyczasie przygotował oszczep, ponieważ wiedział, że takiej wielkiej ryby nie da rady wciągnąć po prostu na łódź. Linka znów złapała trochę luzu, więc szybko wybrał go i zabezpieczył. Zdobycz zatrzymała się, łódź zwolniła, a rybak chwycił za oszczep. Nagle zrobiło się bardzo cicho; mężczyzna rozejrzał się dookoła. Okazało się, że zdobycz zaciągnęła łódź jeszcze dalej na północ, w pobliże trzęsawisk, które uważano za nawiedzone.

W dawnych czasach, jeszcze za panowania kniazia Chwostka, stał tam gród tego okrutnego pana. Za swoje zbrodnie został surowo ukarany przez okolicznych możnych. Ich zbrojne drużyny zdobyły twierdzę, wyrznęły wszystkich lojalnych wojowników władcy; natomiast nieliczni, którzy uniknęli śmierci, w tym sam książę i jego żona, schronili się w kamiennej wieży. Nie było sposobu, aby wziąć ją szturmem czy podpalić, więc atakujący rozłożyli się pod wieżą i próbowali zagłodzić obrońców. Legenda mówi, że książę ze swoimi ludźmi trzymali się bardzo długo, tak długo, że niecierpliwieni oblegający wezwali na pomoc czarną magię. Guślarze i szamani obłożyli wieżę klątwami. Straszliwe zaklęcia wypaczyły całą okolicę. Wieść niesła, że kiedy ucichły już wszystkie odgłosy w wieży i oblegającym udało się wyłamać wrota, zastali w środku przerażający widok. Wszędzie, na każdym z pięter, leżały objedzone do czysta szkielety obrońców. Pomędzy kościotrupami przemykały ogromne, tłuste szczury. Ich czerwone ślepia błyszczały złośliwą inteligencją, ale gryzonie nawet nie próbowały atakować wchodzących wojów. Wrota zamknięto, a całe miejsce uznano

za przekłete. Teraz nie zostało tam nic oprócz ruin przekłetej wieży nawiedzanej przez upiory obrońców – tak przynajmniej utrzymywali ci, którzy rzekomo tam byli.

Rybaka przeszedł dreszcz strachu, kiedy przypomniał sobie te opowieści. Zdał sobie sprawę, że zysk nie zawsze wynagradza podjęte ryzyko. Linka zatrzeszczała ponownie, przypominając mężczyźnie o zdobyczy. Rybak przeciął ją szybkim ruchem, chwycił za wiosła i ruszył na południe w kierunku Ostrowia Lednickiego i Gradca. Łódź oddalała się prędko, pchana potężnymi pociągnięciami mocarnych ramion.

Chwilę później woda w pobliżu trzęsawiska wzburzyła się gwałtownie i wyłonił się z niej wielki, mroczny kształt. Stwór opięty zielonkawą, kostropatą skórą wyszedł na brzeg i spojrzał w kierunku, w którym odpłynęła łódź. Ryknął donośnie, uciszając na moment koncert żab, po czym zabrał się za wyciąganie rybackiego haka, który utkwiał mu w zębatej paszczy.

Gradec, oprócz Gniezna i Santoka, był największym i najważniejszym grodem Polan. To tutaj prowadził główny szlak handlowy wschód-zachód, dzięki czemu osada się rozwijała i zyskiwała coraz większe znaczenie. Otoczony ostrokołem gródek był miejscem spotkań całej rzeszy kupców i rzemieślników. Tylko tutaj można było nabyć najlepszą, wykonaną z kruszcu, nie z kamieni i kości, broń i także narzędzia. Kupcy i rzemieślnicy z zachodu coraz częściej zagłębiali się we wschodnie puszcze, aby zdobycze swojej cywilizacji wymieniać na jantar i srebro. Miejscowi zaś szybko zauważyli, że broń i narzędzia, wykonane z kruszcu zwanego przez zachodnich kupców żelazem, są lepsze i trwalsze niż te, których używali dotychczas. Prowadzono przede wszystkim handel wymienny, jednak do obrotu wchodziły już powoli srebrne i złote monety, których używali podróżni z zachodu. Nie minęło wiele czasu a sam Lestek, najwyższy książę, przeniósł swoją siedzibę do Gradca. Osada skorzystała na tym; widać to było już po upływie kilku miesięcy. Ostrokół został wzbogacony

o dwie dodatkowe sekcje, w regularnych odstępach pojawiły się na nim strażnice obsadzone łucznikami. Wzmocniono i poszerzono mosty oraz drogi prowadzące do osady, aby nawet największe i najcięższe wozy kupieckie nie miały problemów z dojazdem. Najbliższą okolicę patrolowały dziesiątki doskonale wyszkolonych i uzbrojonych wojów kniazia, którzy szybko poradzili sobie z kilkoma bandami grasantów nękających kupców. Znaczniejszym problemem były regularne najazdy Pomorców, którzy palili i grabili okoliczne wsie i gospodarstwa. Jednak po długiej i krwawej bitwie pod wsią Cieszynki horda Pomorców została pobita przez wojów Lestka, a wódz najęźdźców wzięty do niewoli i stracony. Jego odcięta głowa tkwiła na palu obok największego budynku w osadzie, przypominając wszystkim, jaki los czeka każdego wroga kniazia. Od tamtej pory panował względny spokój.

Dzień zaczął się w grodzie jak każdy inny. Pianie kogutów mieszało się z pokrzykiwaniem straży na ostrokołe. Kupcy rozpalali niewielkie ogniska przy swoich wozach i przygotowywali poranny posiłek. Coraz więcej ludzi wychodziło z chat, by zająć się codziennymi obowiązkami. Od strony warsztatów rzemieślniczych dochodziły huk młotów i posykiwanie pił. Rolnicy, rybacy, przekupnie rozłożyli swoje kramy i krzykiem zachęcali pierwszych przechodniów do kupna towarów.

– Do mnie ludziska! Do mnie wszyscy! – darł się jeden z kramarzy; jego akcent zdradzał, że pochodzi z zachodu. Oferował ozdoby z kruszcu: bransolety i zausznice.

– Miecze, topory i lemiesz!

– Misiury! Karwasze!

Nie minęło wiele czasu, a wokół handlarzy zaroilo się od zainteresowanych. Bramy grodu zostały otwarte i do środka popłynęła ludzka rzeka...

Zbliżał się już wieczór, kiedy okoliczni rybacy zaczęli powracać z połowów. Wyciągali swoje łodzie na brzeg i handlowali – jedni prosto z łodzi, inni stawiali kosze z rybami na swoich stoiskach.

– Ryby!

– Najlepsze ryby z Lednicy!

Obok straganu jednego z rybaków zebrał się spory tłum. Ludzie podziwiali wielkość wystawionych na sprzedaż okazów. Głośno chwalili rybaka. Cały połów został sprzedany w mniej niż godzinę. Kiedy nastał wieczór, bramy zamknięto, a strażę zaczęły się nawoływać w zapadającej szybko ciemności. Szczęśliwcy, którym udało się kupić wyjątkowe ryby z Lednicy, zasiedli z rodzinami do posiłku.

– Panie! Panie! – Krzyk jednego ze sług obudził Lestka z pijackiego snu.

Kniaź miał wrażenie, że coś nieczystego zdechło w jego ustach zeszłej nocy. Nawet nie przypuszczał, że miejscowy miód trójniak jest tak mocny. Ale powinien wiedzieć, że ciężko mu będzie pokonać w picciu setników. W głowie mu huczało, jakby miał pod czaszką ze sto uli.

– Czego tam znowu... – burknął, patrząc spode łba na sługę.

Przebywanie w osadzie było nudne i męczące, jednak należało do obowiązków kniazia, który powinien doglądać jednego z najważniejszych szlaków handlowych. Co nie zmienia faktu, że wolałby teraz być w Gnieźnie, brać udział w ucztach i polowaniach.

– No, mów szybko, o co chodzi – ponaglił sługę.

– Zbysław czeka, panie. Prosił o posłuchanie. Mówiłem, że pewnie jeszcze śpisz, ale żądał...

– Dobra, dobra... – Znękany Lestek pomyślał, iż niedawno schwytany i stracony wódz Pomorców mści się z zaświatów, waląc od wewnątrz w jego czaszkę swoim kamiennym młotem. – Daj mi soku i piwa, a potem wołaj Zbysława.

Kiedy kniaź zaspokoił pragnienie, umył się i częściowo ubrał, a mściwy wódz Pomorców uderzał swym młotem tylko raz na jakiś czas, do izby wszedł Zbysław. Był to potężny mężczyzna, ubrany w nabijany żelazem kaftan ze skóry tura, z kruszcowym mieczem przy boku. Kniaź wątpił, by zdołał unieść jego broń jedną ręką, choć widział, jak w czasie bitwy z hordą Pomorców Zbysław władał nim bez widocz-

nego wysiłku, a dookoła tylko latały odrąbane kończyny i głowy wrogów. Zbysław służył Lestkowi od początku. Znali się niemalże od małego. Książ doskonale pamiętał ich pierwszą wspólną bitwę, kiedy jeszcze jako wyrostki wzięli udział w wyprawie przeciw Wioletom. W wirze wścieklej rąbaniny Lestek został powalony na ziemię ciosem kamiennej siekiery, która roztrzaskała mu tarczę i złamała lewe ramię. Byłby wtedy niechybnie zginął, gdyby nie Zbysław. To on właśnie pojawił się obok przyszłego kniazia, podniósł go i osłaniał tarczą oraz własnym ciałem. Przypłacił to raną przedramienia, gdy zbłąkana strzała przebiła tarczę i ciało, oraz ranami barku i głowy. Po tej ostatniej nosił wielką bliznę sięgającą aż do kącika lewego oka.

– Panie – przybyły skłonił się lekko – wybacz, ale sprawa, z którą przychodzę...

– Mów, o co chodzi.

– Dziś rano, zaraz po zmianie wart, okazało się, że do pracy przy wschodniej strażnicy, tej od jeziora, przy moście, nie przyszedł żaden cieśla. Jedna z podpór była za słaba i należało ją szybko naprawić. Kiedy dziesiętnik mi to zgłosił, rozkazałem odszukać ich i sprawdzić, co się stało. Pchnąłem dwóch konnych do tartaku przy Trzech Dębach i dwóch kolejnych do Jaru Baby. Kiedy wrócili... Kiedy powiedzieli... – Zbysław zacisnął zęby, a książ przysięgłby, że dostrzegł w jego oczach strach, co było raczej niemożliwe. – Nie żyją... Wszyscy nie żyją... Drwale przy Trzech Dębach i ich rodziny, wszyscy z osady przy Jarze Baby też...

– Pomorcy?

– Nie, to nie Pomorcy ani bandyci, ani w ogóle... ludzie.

– Co?!

– Nie wierzyłem im. Sam pojechałem, żeby zobaczyć. Wszyscy martwi, leżeli tam, gdzie upadli, czarne trupy, wyschnięte, bez kropli krwi. Złe to zrobiło, na pewno. Ale to nie wszystko... Tutaj w Gradcu to samo. Całe rodziny martwe leżą w domach. Myśleliśmy, że to zaraza, ale potem okazało się...

– Skąd pewność, że to nie sprawa Czarnej Kostuchy? – przerwał Lestek. – Bagna tu też dookoła, więc i powietrze morowe.

– Nie, to na pewno nie zaraza. Znaleźliśmy rybaka... Mówił, że łowił na północnej stronie Lednicy.

– A co to ma do rzeczy?

– Tam przecież nasze dziady Chwosta pobiły za to, że lud gnębił. Rybak wybrał się w to przeklęte miejsce, choć inni się boją i nigdy tam nie łowią. Mówił, że ryby stamtąd przywiózł i sprzedał. Dużo ludzi je kupiło. On sam kilka najlepszych sztuk do swojej chaty zawiózł i żonie kazał przyrządzić. Cała jego rodzina nie żyje...

– A on sam? Jak mu się udało?

– Nie zdążył ich spróbować...

– Dawaj go tu! – wrzasnął kniaź. – Niech pokaże dokładnie, gdzie łowił te ryby!

– Panie – woj wbił wzrok podłogę – on nie żyje, zabił się zaraz po...

Lestek wytrzeźwiał zupełnie. Problem był poważny, na tyle poważny, że rozwiązanie było tylko jedno.

– Szukuj łódź, Zbysław. Musimy co rychlej płynąć na Ostrów Lednicki.

Rozdział pierwszy

Wyspa od niepamiętnych czasów była miejscem kultu. Setki lat temu składano tu ofiary bogom. Czasem były to ofiary z ludzi. Perun i Weles żądali ich, a woli bogów nie wolno się sprzeciwiać. Miejsce to tętniło także magią, ciężką i złowrogą, wyczuwalną nawet przez zwykłych ludzi, którzy czasem odwiedzali chram, prosząc bóstwa o przychylność w jakichś sprawach.

Centralne miejsce na wyspie zajmowało olbrzymie wyobrażenie Peruna, zaś po jego prawicy znajdował się mniejszy posąg boga wojny i śmierci, Welesa. Perun przedstawiony był na podobieństwo człowieka, a jego poważne i tchnące mądrością oblicze witało pielgrzymujących wiernych. Odnosiło się wrażenie, że jest to dobrotliwy dziadek, gotów zawsze wspomóc każdego radą. Weles natomiast wyglądał jak bezkształtny, na poły ludzki bałwan¹, groteskowy i przygarbiony. Na jego szyi wisiał naszyjnik z ludzkich czaszek, a ostrze broni, którą wyobrażenie boga dzierżyło w prawej dłoni, było oblepione zaschniętą krwią ofiar. U stóp posągu leżał stos głów; najświeższe z nich należały do pokonanych niedawno i wziętych do niewoli Pomorców. Sam książę Lestek przywiódł ich tu w dniu zwycięstwa i ofiarował krwawemu bogu. Przed posągami bóstw znajdował się wielki kamień ofiarny, wygładzony przez stulecia używania. Wiele dusz poświęcono na tym ołtarzu dla chwały bogów i w podziękę za ich łaski.

W pewnym oddaleniu od ołtarza, ukryte w cieniu olbrzymich dębów, znajdowały się drewniane chaty, gdzie mieszkali Najwyższy Kapłan i akolici. Od samego świtu panowało tam lekkie zamieszanie, ponieważ przyszła wiadomość, że sam książę Lestek przybędzie dziś do chramu lednickiego, aby prosić o radę i pomoc. Najwyższy Kapłan rozkazał, by władca został godnie przyjęty.

¹ *Bałwan* – posąg pogańskiego bóstwa.

Było około godziny po południu, kiedy jeden z akolitów dał znać kapłanowi, że trzy łodzie zbliżają się do wyspy. Przy brzegu zebrała się grupa kapłanów, która miała przywitać kniazia.

Lestek siedział w łodzi i ponurym wzrokiem obserwował zbliżający się brzeg i grupę oczekujących na niego postaci. Siedzący obok kniazia Zbysław wiercił się i mruzczał coś pod nosem.

– O co chodzi? – spytał w końcu zniecierpliwiony Lestek.

– Przecież to Ostrów Lednicki... Każdy słyszał, co tu się dzieje, czary i dziwy... – Olbrzymi woj rozejrzał się niespokojnie, a kniaź wzruszył ramionami. – Nikt nie odważył się splądrować tej wyspy. Pamiętacie, jak kiedyś Niemce najechali na Santok, a ich luźne kupy zabijały i rabowały dookoła? Ale tutaj żaden nie przepłynął. Ludzie schronili się przed nimi na wyspie, a oni co? Stali na brzegu, patrzyli, nikt nie śmiał jednak przepłynąć i atakować. A Chwost? Opowiadają dziadowie, że też kapłanów bał się tknąć. Wymordował całą swoją rodzinę, krewnych i wszystkich, którzy się buntowali i byli przeciwni... A na Ostrów Lednicki ręki nie podniósł. A jak Boleczaj i Tasław z innymi w końcu Chwosta pokonali? Bo im czarownicy z chramu lednickiego pomogli. Mówi się, że niebo wtedy pociemniało, że grzmiało i błyskało, a trupy poległych wstawały i atakowały żyjących. Z bagien wyłaziły potwory, a woje wpadali w szaleństwo...

– Brednie starych bab – przerwał Lestek, próbując nadać swemu głosowi stanowcze brzmienie.

Zbysław spojrział na niego urażony i nic już nie mówił, choć w dalszym ciągu wiercił się nerwowo. Kniaź też poczuł dziwny ścisk w żołądku, ale wytłumaczył sobie, że to pewnie ostatnie oznaki porannego kaca.

Kiedy dziób łodzi zarył w piaszczysty brzeg, Lestek ze Zbysławem wysiedli, a witający ich kapłani pochyłili z szacunkiem głowy.

– Najwyższy Kapłan oczekuje cię, panie – cicho odezwał się jeden z nich. – Pozwól za mną.

Zbysław został na brzegu z resztą kapłanów, bowiem z wypowiedzi wynikało, że tylko kniaź otrzymał przywilej rozmowy. Lestek zaś ruszył za przewodnikiem. Po chwili ze zdziwieniem zauważył, że nie kierują się do chramu, lecz do wewnętrznej świątyni, w której mieli prawo przebywać tylko poświęceni bogom kapłani. Przewodnik zatrzymał się.

– Najwyższy Kapłan oczekuje cię, panie, w środku – powiedział, kłaniając się, i wskazał kierunek.

Kniaź podziękował skinieniem głowy, westchnął i wkroczył do mrocznego wnętrza. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do półmroku, dostrzegł klęczącą ze wznie-
sionymi rękoma postać. To, co znajdowało się przed klęczącym, zaskoczyło go i złę-
kło. Centralne miejsce w komnacie zajmował olbrzymi szkielet. Wydawać by się mo-
gło, że jego szczęki szczerzą się w szyderczym uśmiechu. Złowroga aura bijąca od
szkieletu była tak silna, że aż ciężko było oddychać. Lestek czuł się tak, jakby dopadł
go dusiołek, zmora senna lubująca się w duszeniu śpiących. Obok klęczącego
w świątyni znajdowała się jeszcze dwójka ludzi, którzy nie wyglądali na sługi świą-
tynne. Pierwszy z towarzyszy kapłana ubrany był w koszulkę kolczą sięgającą kolan,
na niej zaś nosił skórzany pancerz i żelazne naramienniki, przy boku miał szeroki
miecz i wspierał się na kosturze zwieńczonym czaszką o dziwnym kształcie. Drugi
również odziany był w pancerz, ale kruszcowy, zbudowany z segmentów na podo-
bieństwo raczego ogona, żelazne karwasze i naramienniki. W pętlach przy pasie na
jego prawym i lewym biodrze wisały żelazne topory. Kniaź nigdy wcześniej nie wi-
dział takich pancerzy i takiej broni. Obaj mężczyźni mieli ponure, poznaczone blizna-
mi twarze, ostre, przenikliwe spojrzenia i sprawiali wrażenie tęgich rębaczy. Kapłan
skończył się modlić, wstał z klęczek, obrócił się w stronę gościa i skłonił głowę.

– Witaj, książe, w świątyni.

Lestek w odpowiedzi również skłonił się z szacunkiem.

– Czcigodny...

Kapłan zauważył zainteresowanie Lestka makabryczną figurą znajdującą się w sanktuarium.

– Nie wiadomo dokładnie, czym on jest. Niektórzy mówią, że sam Weles zostawił swoją cielesną powłokę, która siedzi tu od najdawniejszych czasów, a dookoła powstała świątynia. Inni powiadają, że jeden z kapłanów widział Welesa na własne oczy i potem stworzył ten wizerunek. Jaka jest prawda, nie wiadomo. Wiemy tyle, że nie jest wykonany z drewna ani z kruszcu, tylko przypomina prawdziwą kość...

– Widząc, że Lestek wpatruje się w posąg z narastającym niepokojem, kapłan powrócił do celu jego wizyty. – Wiem, niestety, jaka sprawa sprowadza cię do nas, panie. Widziałem we śnie zrujnowaną wieżę i zło, które tam się obudziło.

– Zechciej więc służyć nam radą. – Kniaziowi udało się oderwać wzrok od Welesa, choć miał wrażenie, że tuż przedtem dostrzegł wyraźną drwinę w pustych oczodołach bóstwa. Potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem.

– Oczywiście, mój panie. Jednak najpierw pozwól... To Angousgone – wskazał na wojownika z toporami – jeden z magów bitewnych. Tutaj natomiast – spojrzał na mężczyznę z kosturem – Szaratarisz, akolita Welesa i wróżbita. Nie pochodzą stąd, przybyli z południa dawno temu. Dziś natomiast będą nam służyć radą i pomocą. Przejdźmy w inne miejsce.

Lestek z ulgą powitał możliwość opuszczenia świątyni i oddalenie się od złowrogiego wyobrażenia bóstwa, które zdawało się bacznie obserwować kniazia pustymi oczodołami. Skierowali się do okazałego budynku, w którym nieraz przebywał Lestek, kiedy odwiedzał Ostrów. W środku uwijali się kapłani, przygotowując wystawne przyjęcie, które Najwyższy Kapłan nazywał „skromnym poczęstunkiem”. Zbysław z resztą ludzi już tam siedzieli. W krótkim czasie na stołach pojawiły się różnego rodzaju potrawy. Na początek podano pieczonego dzika i kilka rodzajów miodów pitnych. Następnie wniesiono sarninę i pieczone bobrze ogony. Książę razem ze swoimi towarzyszami siali istne spustoszenie wśród mis i dzbanów. Lestek poczuł

się na tyle dobrze, że znów nieomal zapomniał o umiarze w smakowaniu miejscowego alkoholu.

Najwyższy Kapłan przypomniał mu jednak o prawdziwym celu spotkania.

– Panie – zaczął z powagą, a dobry nastrój Lestka ulotnił się w jednej chwili.

– Wracając do naszej wcześniejszej rozmowy, chciałbym powiedzieć, że klątwy nie są moją specjalnością. Ale mag i wróżbita, których ci przedstawiłem, wiedzą na ich temat o wiele więcej. Są wyznawcami Welesa i jemu służą, a oprócz tego są wyśmiewanymi wojownikami, nie zleknią się niebezpieczeństw i na pewno poradzą sobie w każdej sytuacji. Szaratarisz już jakiś czas temu wyczuł, że coś niedobrego dzieje się w tamtych rejonach. Jego wróżby to potwierdziły. Ja sam też to spostrzegłem. Chwost za życia nie był człowiekiem, lecz bestią w ludzkiej skórze. Co więcej, wszystkie zaklęcia rzucone w tamtym czasie tak wypaczyły owo miejsce, że do tej pory nikt tam nie chodzi. Wiem z wiarygodnych źródeł, że żona Chwostka, z Niemców była przecież, oddawała cześć złemu, trucizny i jady warzyła. Niemce nie czczą naszych bogów, Pomorcy są jeszcze gorsi. A wiadomo, że Chwost trzymał z jednymi i z drugimi.

– Co nam tedy robić? – Książ nie miał pojęcia, czemu służył cały ten wywód.

– Zwykły człowiek nic nie poradzi, dlatego chcę, aby zajęli się tym ci, którzy mogą coś poradzić.

– Kapłani?

– Można tak to ująć. – Najwyższy Kapłan wskazał wzrokiem maga i wróżbitę.

– Dlaczego? – Zdziwił się książ, patrząc na surowe, jakby wyciosane z granitu oblicza obu mężczyzn.

– Bo to oni wtedy pomogli zabić Chwosta.

Lestek wpatrywał się w wodę burzoną dziobem łodzi. Wracali z Ostrowia Lednickiego. Zbysławowi wyraźnie poprawił się humor, odkąd opuścili wyspę, książ natomiast

wpadł w ponury nastrój. Cała sprawa stawała się coraz dziwniejsza. Po powrocie do Gradca będzie musiał się uporać ze skutkami jedzenia ryb złowionych w przeklętym miejscu. Najrozsądniej byłoby wszystkie zwłoki jak najszybciej spalić, wiedział jednak, że to niemożliwe. Obrządek wymagał odpowiednich uroczystości, aby dusza zmarłego zaznała po śmierci spokoju i nie nękała żywych. Niech więc Zbysław się tym zajmie, najpierw zmarłymi w Gradcu, potem resztą. Poza tym wszyscy muszą przyjąć do wiadomości, że obowiązuje zakaz połowu na całej północnej części jeziora i zakaz przebywania w pobliżu ruin siedziby Chwosta. Potem niech problem rozwiążą magowie. Jeżeli trzeba będzie on, jako książę, zapewni im niezbędne wsparcie. Uspokojony tymi myślami Lestek rozsiadł się wygodniej na łodzi i odprężył.

Zbysław, jak zwykle zresztą, okazał się nieoceniony. Wszystkich zmarłych zebrano, tych z Gradca i tych z osady przy tartaku. Odprawiono odpowiednie uroczystości i już tego samego wieczora spotkali się z czcigodnymi przodkami, do których ulecieli, kiedy ich ziemskie powłoki strawił ogień pogrzebowych stosów.

Donec przyglądał swoją bujną, rudą czuprynę. Według informacji, które udało mu się zdobyć, łódź powinna być w tym miejscu. Ostrożnie podszedł bliżej brzegu i zaczął bacznie rozglądać się w szuwarach. Było późne popołudnie. Donec przybył do kraju Polan jakiś miesiąc temu. To była jego pierwsza tak daleka wyprawa. Wyruszył razem z kupcem Gubelem jako pomocnik; transportowali w dwóch olbrzymich wozach ozdoby ze srebra i kruszcową broń. Na początku handel szedł bardzo dobrze, aż do tego nieszczęśliwego dnia, kiedy Gubel przyniósł kupione na targu ryby, które zamierzał zjeść tego wieczora. Donec doskonale pamiętał, jak bardzo zdziwił się na widok tak dorodnych ryb; pamiętał też ich smakowity zapach, który rozszedł się, kiedy Gubel rozbił glinę, w której były pieczone.

– Ty, młody – zwrócił się do niego kupiec – idź no na tył wozu. Tam leży moja sakwa, przynieś ją.

Kiedy Donec wykonał polecenie, Gubel wyjął ze środka sakwy niewielki woreczek z solą. Szczyptą przyprawił ryby i obaj rozsiedli się wygodniej. Ryby były wyjątkowo pyszne, nigdy nie jadł niczego smaczniejszego. Po posiłku obaj ułożyli się do snu i wtedy zaczął się koszmar. Donec dobrze pamiętał ten zły, syczący głos, który nie mógł należeć do istoty ludzkiej.

– Rano udasz się nad jezioro – słowa wślizgiwały się do świadomości śpiącego niczym jadowite węże do łoża ofiary. – Znajdziesz łódź i popłyniesz na północ.

Donec nie mógł oprzeć się temu nakazowi. Rano wstał, poświęcił tylko jedno spojrzenie skrzyconym, poczerniałym jak od ognia zwłokom Gubela i ruszył w stronę jeziora. Chociaż jakaś część jego duszy wrzeszczała w panice i wiedziała, że źle robi, on sam działał jak w transie. Poszukiwania środka transportu zakończyły się sukcesem i po chwili siedział już w łodzi. Przeprowa przez jezioro nie zajęła mu wiele czasu. Mokry od potu wciągnął łódź na brzeg i posłuszny wewnętrznemu nakazowi ruszył w głąb trzęsawisk, bezbłędnie omijając zdradliwe miejsca.

Po godzinie forsownego marszu w zielonkawym, jadowitym półmroku bagien dostrzegł majaczący w oddali stołb. Kiedy do niego dotarł, okazało się, że otoczony jest resztkami gnijącej palisady i ruinami innych budynków. Sama wieża była zapadnięta w bagnie i lekko przechylona. Dziwne, zielonkawe macki mgły muskały zmurszałe mury, atmosfera tego miejsca była ciężka i złowroga. Panowała przeraźliwa cisza, z rzadka przerywana jedynie cichym mlaśnięciem bagiennej brei. Donec zbliżał się do wieży, chociaż szczął zębami ze strachu. Cichy syk, który dobiegł zza jego pleców, kazał mu się odwrócić. Młodzieniec spojrział prosto w parę zimnych jak u gada oczu. Donec otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk...